

Z pamiętnika żołnierza

MICHAŁ KUCZAJ ÓW.

Wrocławski Krąg Młodych Wędrowników św. Wojciecha.
Uczeń 2. klasy XIV LO im. Polonii Belgijskiej we Wrocławiu,
od września 2005 do września 2007 redaktor naczelny pisma „Ruczaj”.
Był zastępowy Bobra z 1. DW św. Franciszka.



Już kilkanaście dni siedzieliśmy w koszarach w pustynnym stońcu Kuwejtu. Po przybyciu do kontrolowanej przez ONZ strefy, w ramach akcji Pustynna Burza mieliśmy za zadanie przetransportować cały sprzęt, a także materiały budowlane, z których każdy z plutonów budował indywidualnie swoje koszary. Gdy stanęły piękne obozowiska, wszystkie plutony udały się na trzydniowy zwiad, aby dobrze poznać okoliczne tereny.

Jako zaradni żołnierze cały czas pracowaliśmy nad sztuką gotowania, sygnalizacji, a niejednokrotnie (na nas samych) ćwiczyliśmy pierwszą pomoc. Stanęła też wieża wartownicza, której budową kierował pierwszy pluton pionierski „Jastrząb”. Wieczorami odpoczywaliśmy przy ogniskach, na jedno z nich udaliśmy się wojskowymi łazikami do żeńskiej partyzantki o kryptonimie „BluSZcz”. Nie wolno zapomnieć tu o duchowym przygotowaniu nas do misji: codzienne Msze św. hartowały nas dużo bardziej niż poranne zaprawy.

Pewnego poranka wezwano nas na odprawę dowódcy plutonów. Poznaliśmy szczegóły Pustynnej Burzy, czyli już od dawna planowanej operacji przeciwko Saddamowi Husajnowi. Wiedzieliśmy, że wreszcie będziemy robić coś konkretnego i oto właśnie nadszedł ten dzień. Jak zwykle przed bezpośrednią operacją mieliśmy przetestować sprzęt potrzebny do działań. Przewieziono nas do nowoczesnej jednostki wojskowej kilkanaście kilometrów od naszych koszar. Przeglądaliśmy się wszystkim zabudowaniom, pojazdom, żołnierzom, a także spadochroniarzom, którzy lądowali dosłownie kilkanaście metrów od nas. Również śmigłowce, które zabierały skoczków pod niebiosa, wzbudzały w nas ducha walki i ogromną chęć spuszczenia lania Irakijczykom. Tym bardziej, że mogliśmy spenetrować każdą śrubkę: w hangarach stały majestatycznie 4 spośród 32 Sokółów (śmigłowców polskiej produkcji). Zwiedziliśmy również klimatyzowaną wieżę kontroli lotów (w tym upale było to coś wspaniałego) wyposażoną w najnowszy sprzęt radiowy.

Po posileniu się w kantynach pod Kuwait City dostaliśmy rozkaz odebrania informacji – wytycznych w wyznaczonym miejscu. Spodziewaliśmy się Irakijczyka pracującego dla naszej armii, jednak dowództwo zaszczyliło nas dużo bardziej. Wytyczne dostaliśmy od naszych kolegów po fachu – lecz z innej działki – pilotów. Jako nowi rekruci praktycznie nigdy nie mieliśmy okazji zobaczyć śmigłowca w akcji, nawet o tym nie marzyliśmy. Ku naszej wielkiej radości piloci zeszli Sokółem nisko nad Ziemię (8-9 metrów) i wyrzucili przesyłkę. Szczerze mówiąc, to mało nas obchodziło, co jest w przesyłce: cały czas osłupieni wpatrywaliśmy się w unoszący się powoli śmigłowiec. Niejednemu zwiato beret (przepraszam, hełm), niejeden poczuł wyjątkowo silny podmuch, który go przewrócił, niemniej jednak było to duże wyróżnienie dla nas ze strony generała Schwarzkopfa, który dowodził akcją.

Z informacji zawartej w przesyłce dowiedzieliśmy się o lokalizacji irackich wyrzutni rakiet typu SCUD, które należało zniszczyć. Irakijczycy mieli gorszy sprzęt, jednak zniszczenie wyrzutni nie było takie proste. Byliśmy skazani na wygraną, jednak nie obyło się bez ofiar. To przypominało mi trochę grę w U-Boty, gdy byłem harcerzem.

Po przeprowadzeniu błyskawicznej interwencji pozostało nam dotrzeć do bunkrów, oddalonych o 8 km. Tam, po ciężkim dniu, spodziewaliśmy się spokojnie spędzić nocleg. Jednak Irakijczycy wiedzieli o wszystkim. Podłożyli pod nasze bunkry ogromne bomby. Specjalny oddział komandosów (z zielonymi i czerwonymi naszywkami na lewym ramieniu) musiał w bardzo szybkim czasie przeczołgać się przez kanały i rozbroić wszystkie ładunki. Przeszkadzała nam w tym woda, chłód, a gdzieś tam naprawdę wąskie i niskie przejścia. Brudni, mokrzy, ze zniszczonymi spodniami, ale jednak radosi, że i tym razem nie zawiedliśmy swojej ojczyzny, zrobiliśmy sobie kilka zdjęć z amerykańską flagą i udaliśmy się na dość krótki spoczynek. Już ok. godziny 5:00 obudził nas głośny wybuch, coś jakby wielka petarda w bunkrze. To znów zbliżali się Irakijczycy, widać zezłoszczeni tym, że bomby zostały rozbrojone. Mieliśmy dosłownie kilka minut, aby ewakuować się kanałami z bunkra, wśród głośnych i bliskich wybuchów, popędzani przez generała Schwarzkopfa. Na całe szczęście – zdążyliśmy.

Teraz nadszedł czas ostatecznego pojedynku. Pierwsza potyczka była bardzo łagodna, nie chcieliśmy rozlewu krwi, więc użyliśmy specjalnych armatek wodnych. Irakijczycy nie pozostawali nam dłużni. Musieliśmy zmierzyć się kontaktowo. I wtedy historia odmieniła swój bieg: US Army poniosła klęskę...

A tak całkiem na poważnie: byłem łącznie na 6 obozach harcerskich, ten był ostatnim w zielonej gałęzi. Nigdy, ale to przenigdy nawet nie marzyłem o tym, że w Wielkiej Grze może uczestniczyć śmigłowiec lub że pod osłoną nocy będę czołgał się po ciasnych, podziemnych korytarzach. To było nawet czymś więcej niż spełnieniem marzeń. To oczywiście stawia tę grę na pierwszym miejscu, chociaż trwała jedynie niecałą dobę. Radości dodał fakt, że to mój zastęp Bóbr wygrał Wielką Grę.

